

# David Gerrold

## Palec w mym mam oku

**K**iedy dziś rano spojrzałem do lustra, zauważyłem brak źrenicy w lewym oku. Znikła również większa część tęczówki, a miejsce, gdzie niegdyś była, znaczył biały pusty obszar z tłustą plamą.

Zrazu pomyślałem, że ma to jakiś związek ze szklami kontaktowymi, ale potem uświadomiłem sobie, że ich nie noszę. Nawet nie mam.

Wyglądało trochę dziwnie to jedno spoglądające na mnie puste oko, prawdziwie jednak niepokojący był fakt, że wciąż nim widzę... Przykrywszy dłonią prawe oko przekonałem się, że wzrok w lewym mam nie gorszy niż zwykle, i to mnie zaniepokoiło...

Nie zmartwiłbym się, gdybym nic nim nie widział. To by znaczyło, że w nocy oślepiłem na to oko. Ale jeśli źrenica oka roztapia się ot, tak, i nie wpływa to wcale na wzrok - cóż, rzecz jest niepokojąca. Mogła być objawem czegoś poważnego.

Rzecz jasna, pomyślałem, by zadzwonić do lekarza, ale nie znałem żadnych lekarzy, a poza tym krępowałem się nieco zawracać moimi problemami głowę komuś absolutnie nieznanemu. Ale wciąż pozostawało to zagapione we mnie oko, więc w końcu ruszyłem na poszukiwanie książki telefonicznej.

Tylko że książka telefoniczna, jak się zdawało, znikła tej nocy. Podpierałem nią jeden z boków biblioteczki i oto zniknęła. Przepadła też biblioteczka - zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie stałem się ofiarą rabunku.

Najpierw oko, potem książka telefoniczna, wreszcie biblioteczka wszystko zniknęło. Gdyby się tak nie złożyło, że mieliśmy wtorek, powinienem być czuć niepokój. W istocie, już byłem zaniepokojony, ale wtorek to mój dzień na dumanie o wszystkich "a-gdyby-takach", które się stały "nic-z-legami". Poniedziałek jest moim dniem przejmowania się mieniem osobistym (takim jak oczy i książki telefoniczne), a poniedziałek miał wrócić dopiero za sześć dni. Gwałciłem rytuał przejmując się we wtorek. Gdy znów nadejdzie poniedziałek, pomartwię się o książkę telefoniczną, o ile nie wydarzy się coś pilniejszej natury, bardziej zasługującego na troskę.

(Przekonuję się, że podobne segregowanie zmartwień pozwala mi zachować uporządkowany umysł - poświęcając tylko taki a taki czas danemu problemowi jestem w stanie utrzymać świat w należytej perspektywie.) Ale pozostawała kwestia oka i to ona zbijała mnie z pantałyku. Co więcej, zniekształcała ową perspektywę.

Postanowiłem bezzwłocznie uczynić coś w tej sprawie. Ruszyłem na poszukiwanie telefonu, ale on również znikł jakoś tymczasem, zmuszony przeto zostałem do poniechania poszukiwań.

To było bardzo nieprzyjemne - ów irytujący nawyk znikania, którego nabrały bezduszne przedmioty. Ilekroć zaczynałem czegoś szukać, przekonywałem się, że to coś już znikło, jakby zachęcając, bym je znalazł. Przypominało to zabawę w chowanego, skoro jednak bardzo już dawno dałem

spokój podobnie dziecinnym rozrywkom, postanowiłem zaprzestać je prowokować i zaniechać jakichkolwiek poszukiwań. (Niech rzeczy przyjdą do mnie same. )

Postanowiłem pójść do lekarza. (Byłbym założył czapkę, ale oznaczało to, że musiałbym zacząć jej szukać, a obawiałem się, iż zniknie, nim ją znajdę.) Znalazłszy się na dworze stwierdziłem, że przechodzący ludzie spoglądają na mnie w osobliwy sposób. Po chwili pojąłem, że to z powodu oka. Kompletnie o nim zapomniałem, nie uświadomiwszy sobie na czas, że obcym może się to wydawać cokolwiek niezwykle.

Chciałem wrócić po okulary przeciwsłoneczne, ale zdałem sobie sprawę, że znikną, skoro tylko zacznę ich szukać. Więc zawróciłem raz jeszcze i podjąłem wędrowkę do lekarza.

- Niech same przyjdą - mruczałem, myśląc o okularach. Chyba przestraszyłem wiekową damę, którą wówczas mijalem, bo odwróciła się i spojrzała na mnie w niezwykle osobliwy sposób.

Wcisnąłem dłonie w kieszenie płaszcza i parłem do przodu. Niemal natychmiast poczułem w lewej kieszeni coś twardego i płaskiego. To były moje okulary w swoim futerale. I proszę bardzo, przyszły do mnie. Krzepiło przekonanie, że wciąż jestem panem bezdusznych przedmiotów na szlaku mojego życia.

Wyjąłem okulary z etui i założyłem je na nos, ale zaraz się przekonałem, że lewe szkło przeszło w mleczną biel. Idealnie pasowało kolorem do oka, ale - i tu tkwiła różnica - nic nie widziałem przez zmętniałą soczewkę. Musiałem po prostu ignorować spojrzenia przechodniów i podążać do gabinetu lekarskiego.

Niezadługo jednak pojąłem, że nie wiem, dokąd idę: jak podkreśliłem wcześniej, nie znam żadnych lekarzy. I miałem całkowitą pewność, że skoro tylko takiego gabinetu zacznę szukać, nigdy go nie znajdę. Stanąwszy więc na chodniku wymamrotałem do siebie: - Niech same przyjdą.

Muszę wyznać, że pomny historii z okularami, nabrałem podejrzliwości wobec całej tej procedury, ale prawdę mówiąc nie miałem wyboru. Odwróciwszy się ujrzałem tabliczkę na budynku za plecami. Było tam napisane: Ośrodek Zdrowia. Wszedłem więc do środka.

Podszedłem do rejestratorki, popatrzyłem na nią, a ona popatrzyła na mnie. Spojrzała mi prosto w oko (to lewe) i zapytała: - Tak, czym możemy panu służyć?

- Muszę się zobaczyć z lekarzem - odparłem.

- Już się robi - odrzekła. - Jeden przechodzi właśnie przez hol. Dostrzeże go pan jeszcze, jeśli szybko pan spojrzy. Niech pan patrzy! Tam jest!

Spojrzałem; miała rację - przez hol p r z e c h o d z i ł lekarz. Sam go dostrzegłem. Wiedziałem, że jest lekarzem, bo miał na nogach obuwie golfowe, a ubrany był w sweter; nim zniknął w bocznym korytarzu, obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. Odwróciłem się znów do dziewczyny. - Nie o to mi dokładnie chodziło - powiedziałem.

- Tak, a o co panu chodziło?

Odparłem: - Chciałem, żeby lekarz mnie obejrzał.

- Ach, tak - stwierdziła. - Dlaczego nie powiedział pan tak od razu? - Zdawało mi się, że powiedziałem - odparłem, ale cichutko.

- Nie, nie powiedział pan - podsumowała. - I proszę mówić głośniej. Ledwo pana słyszę.

Ujęła swój mikrofon i przemówiła doń: - Doktorze Gibbon, przejdź do recepcji... - Potem odłożyła mikrofon i spojrzała na mnie wyczekująco. Nic nie powiedziałem. Czekałem. Po chwili następny mężczyzna w butach do golfa i swetrze wyszedł z pobliskich drzwi i zbliżył się do nas. Spojrzał na dziewczynę za biurkiem, a ona rzekła:

- Ten pan chce, żeby obejrzał go lekarz.

Lekarz odstąpił o krok i spojrzał na mnie. Zlustrował mnie od stóp do głów, potem poprosił, żebym się odwrócił, i popatrzył jeszcze trochę. Po chwili rzekł:

- W porządku - i powędrował do swego gabinetu.

- Czy to wszystko? - zapytałem.

- Oczywiście, to wszystko - odparła. - To wszystko, czego pan sobie życzył. Opłata dziesięć dolarów.

- Chwileczkę - zaproponowałem. - Chciałbym, żeby obejrzał moje oko. - Cóż - powiedziała - trzeba było mówić tak od razu. Proszę zrozumieć, jesteśmy tu zajęci. Nie mamy czasu bez przerwy wołać lekarzy na dół, żeby patrzyli na każdego, kto tu trafia. Jeśli pan chciał, żeby popatrzył w szczególności na pańskie oko, powinien pan to powiedzieć.

- Ale ja nie chcę, żeby ktoś tylko popatrzył na moje oko - powiedziałem. - Chcę, żeby ktoś je wyleczył.

- A to czemu? - zapytała. - Coś z nim nie w porządku?

- Nie widzi pani? - zapytałem. - Zniknęła źrenica.

- Och - stwierdziła - w rzeczy samej. Szukał jej pan?
- Tak, szukałem. Wszędzie szukałem... i prawdopodobnie dlatego nie mogłem jej znaleźć.
- Może gdzieś ją pan zostawił? - zagruchała pieszczotliwie.
- Gdzie pan był ostatnio?
- Nigdzie - odparłem.
- No właśnie, może w tym cały kłopot.
- Miałem na myśli, że wczoraj siedziałem w domu. Nigdzie nie chodziłem. I nie czuję się zbyt dobrze.
- Nie wygląda pan zbyt dobrze - uznała. - Powinien zobaczyć się pan z lekarzem.
- Już się widziałem - odrzekłem. - Przechodził przez ten hol.
- Ach, prawda. Teraz sobie przypominam.
- Proszę posłuchać - powiedziałem. Zaczynała ogarniać mnie złość. Czy zechce mi pani z łaski swojej załatwić wizytę u lekarza?
- A więc tego pan sobie życzy - w i z y t y ?
- Tak, tego sobie życzę.
- I jest pan pewien, że to w s z y s t k o, czego pan sobie teraz życzy? Nie zamierza pan wrócić tu później i narzekać, że nie załatwiliśmy tego, czego pan sobie życzył?
- Jestem pewien - odparłem. - Nie zamierzam tu wracać.
- Dobrze. Chcieliśmy mieć pewność w tej sprawie.

Teraz już wszystko wydawało się nienormalne. Świat zdawał się rozjeżdżać na boki - wszystko tak zgniecione, porozciągane i pokoślawione, że ześlizgiwało się w dół, ku krawędzi. Nic poza nią na razie nie wypadło, ale odniosłem wrażenie, że dostrzegam na powierzchni drobne pęknięcia.

Potrząsałem głową, by przejaśnić myśli, ale osiągnąłem tylko tyle, że wydałem bardzo odległy grzechoczący dźwięk - jakby bardzo mały orzeszek uderzał w bardzo wielką skorupę.

Oczekując, usiadłem na kozetce - wciąż nie byłem zdolny myśleć klarownie. Zacierając wszystkie kontury napierały gęstsze niż dotąd kłęby mgły. Widoczność spadła do zera i kontrolerzy grozili, że wstrzymają wszelkie operacje, nim podniesie się pułap. Protestowałem: nie - czyż nie jest dobrze, że pułap tkwi tam, gdzie tkwi? - ale mnie po prostu zignorowano.

Wstałem tedy, próbując dłonią dźwignąć pułap wyżej, ale nie mogłem doń sięgnąć i musiałem wspiać się na krzesło. Nawet wówczas jego powierzchnia była twarda i niepodatna (choć znalazłem się teraz dość blisko, by dostrzec na niej rozliczne pęknięcia i rysy).

Zacząłem znów pchać, ale na moim ramieniu spoczęła silna dłoń i zatrzymał mnie głęboki niewieści głos: - Połóż się na kozetce - mówił. - Po prostu zamknij oczy. Odpręż się. Połóż się i rozluźnij.

- W porządku - odparłem, ale nie położyłem się na wznak. Ległem na brzuchu i przycisnąłem twarz do twardej, niepodatnej powierzchni.

- Rozluźnij się - powtórzyła.

- Spróbuję - odparłem, czyniąc usilne starania.

- Wyrzyj przez okno - powiedziała lekarka. - Co widzisz?

- Widzę chmury - odparłem.

- Jakiego rodzaju?

- Jakiego rodzaju???

- Tak. Jakiego rodzaju?

Spojrzałem ponownie.

- Chmury twarogowe. Strzępy chmur twarogowych.

- Chmury twarogowe? - zapytała lekarka.

- Tak - odrzekłem. - Chmury twarogowe. Twarde i niepodatne:

- Duże gomółki, czy małe?

- He? - zapytałem. Przewróciłem się i popatrzyłem na nią. Nie miała na sobie butów golfowych, ale nosiła sweter. Zamiast butów do golfa miała szpilki. Ale była lekarką - rozpoznałem to. Jej buty wciąż miały flectki.

- Zadałam ci pytanie - zadudniła tym swoim głębokim głosem.

- Tak, zadała pani - zgodziłem się. - Czy może pani je powtórzyć?

- Tak, mogę - odrzekła i czekała w milczeniu.

Ja też czekałem. Przez moment panowała między nami cisza. Odepchnąłem ją na bok i zapytałem:

- No to jak ono brzmiało?



Tym razem odpowiedziała:

- Zapytałam, czy chmury były w małych gomółkach, czy w dużych.

- Poddaję się - rzekłem. - Jakie były?

- Ładnie to z twojej strony, że się poddajesz. W przeciwnym razie musielibyśmy wkroczyć i wziąć cię siłą. Przyznając się do błędów poznawczych znacznie ułatwiasz sytuację sobie i mnie.

Cały interes rozłaził się w szwach i balansował niepewnie na krawędzi. W wizji zaczynały się pojawiać coraz większe pęknięcia, a drobne kawałki jęły się wysuwać i spadać na ziemię, gdzie pękały jak bańki mydlane.

- Hm... - powiedziałem - hm, pani doktor... jakiś kłopot z moim okiem.

- ...am okiem? - zawtórowała.

- Tak. Zniknęła źrenica.

- Zniknęła więc zeń źrenica! - Lekarka była oszołomiona. - Jakże zdumiewające!

Mogłem tylko przytaknąć - co też uczyniłem. (Odrobinę za mocno, być może. Kilka następnych kawałków poszybowało trzepotliwie ku ziemi. Obserwowaliśmy je przez chwilę.)

- Hm - powiedziała. - Mam teorię na ten temat. Chciałbyś jej wysłuchać?

Milczałem. I tak opowie mi tę teorię, czy zechcę jej wysłuchać, czy nie.

- Zbliża się koniec świata - wyszeptała konspiracyjnie.

- Już zaraz? - zapytałem z niejakim zatroskaniem. Nie nakarmiłem jeszcze kota.

- Nie, ale wkrótce - pocieszyła mnie.

- Och - powiedziałem.

Siedzieliśmy w milczeniu. Po chwili odchrząknęła.

- Myślę... - zaczęła powoli i straciła wątek.

- To dobrze uznałem, ale mnie nie usłyszała.

- ...myślę, że świat istnieje tylko jako odbicie naszych świadomości. Istnieje w taki sposób, w jaki istnieje, tylko dlatego, że my myślimy, iż istnieje w taki sposób.

- Myślę - więc jestem - stwierdziłem. Ale mnie zignorowała. Kazała siedzieć cicho.

- Tak, istniejesz - potwierdziła. (Rad byłem, że to uczyniła - zacząłem odczuwać pewien niepokój, a nie był to właściwy dzień na podobne sprawy. Ostatnio poświęcałem im czas we wtorki.) - Istniejesz - dodała ponieważ myślisz, że istniejesz. I również świat istnieje dlatego, że myślisz, iż istnieje.

- Więc kiedy umrę... świat się skończy razem ze mną? - zapytałem z nadzieją, notując w pamięci, by nie umierać.

- Nie... to jest nonsens. Żaden człowiek racjonalny i przy zdrowych zmysłach nie wierzy w solipsyzm. - Podrapała się widelcem po gałce ocznej i kontynuowała.

- Kiedy umierasz - p r z e s t a j e s z istnieć. Ale świat trwa dalej ponieważ wszyscy inni, którzy nie umarli, nadal wierzą,

że istnieją (jedyne w co przestali wierzyć, to ty). Rozumiesz, świat jest kolektywnym wymysłem wszystkich naszych jednostkowych wyobraźni.

- Proszę wybaczyć - powiedziałem sztywno - ale nie wierzę w kolektywizację. - Wyprężyłem się odrobinę, jakby zamierzając usiąść. - Jestem z przekonania republikaninem.

- Czy nie rozumiesz? - powiedziała ignorując mój wtęret. - Ta masowa halucynacja, że świat jest realny, trwa tylko siłą bezwładności. Wierzysz w nią, ponieważ była, kiedy pierwszy raz uwierzyłeś, że istniejesz - to znaczy kiedy wszyscy inni pierwszy raz w to uwierzyli. Gdy się urodziłeś, przekonałeś się, że świat przestrzega pewnego kanonu praw, w które wierzą inni ludzie, ty więc uwierzyłeś w nie także - fakt, że w nie nie wierzysz, po prostu przysparza im tyle właśnie mocy.

- Och - powiedziałem. Leżałem sobie słuchając jej wywodu i próbując wykombinować, jak by tu zwiąć z godnością. Moje oko zaczęło boleć i nie widziałem już pułapu. Mgła napierała znowu.

- Spójrz na kościół - powiedziała raptownie.

- Hę? - zapytałem.

- Spójrz na kościół! - powtórzyła natarczywie.

Spróbowałem. Uniósłszy głowę spróbowałem spojrzeć na kościół, ale mgła była zbyt gęsta. Nie widziałem nawet własnych stóp.

- Spójrz nań - rzekła. - W i a r a jest zasadniczym przykazaniem religii - wiara, że to, co ci mówią, jest prawdziwe! Czyż nie mówią, byś wierzył w kościół i że wiara

czyni cuda? No to coś ci powiem - czyni! Jeśli dostatecznie wielu ludzi w coś wierzy, owo coś staje się rzeczywistością!

Pulsowanie bólu w moim oku było coraz silniejsze. Spróbowałem usiąść, ale przytrzymały mnie jej krzepkie dłonie. Pochyliła się bliżej i szeptała z naciskiem. - Tak! Jest prawda! Jest!

- Jeśli pani tak twierdzi... - przytaknąłem.

Ciągnęła:

- Na szczęście kościół już dawno poniechał cudów na rzecz konserwatyizmu - obecnie walczy o zachowanie status quo! Kościół jest jednym z ostatnich bastionów rzeczywistości - jest jedną z niewielu rzeczy powstrzymujących chaos!

- Chaos?

- Tak, chaos. - Och.

- Świat się zmienia - wyjaśniła. - Człowiek go zmienia.

Przytaknąłem:

- Tak, wiem. Ja też czytam gazety.

- Nie, nie! Nie to miałam na myśli! Człowiek zmienia swój świat nieświadomie! Coraz więcej ludzi zaczyna wierzyć, że mogą naprawdę zmienić swoje środowisko - a im silniej wierzą, tym drastyczniej ono się zmienia. Dam ci przykład - skamieliny!

- Skamieliny?

- Tak, skamieliny. Nikt nie znajdował żadnych skamielin, dopóki ludzie nie zaczęli wierzyć w ewolucję - a potem, gdy

już zaczęli w nią wierzyć, nie postąpiłeś kroku, żeby się nie potknąć o skamielinę.

- Naprawdę pani w to wierzy?

- Tak, wierzę - odparła z namaszczeniem. - Więc tak być musi.

- Och, bo tak jest - zgodziła się i pojąłem, że naprawdę wierzy. Bardzo przekonująco to wyłożyła. W istocie, im dłużej mówiła, tym mocniej sam zaczynałem w to wierzyć.

- Dlaczego mi pani mówi to wszystko?

- Bo grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Oto dlaczego. - Wyszepiała groźnie: - Świat nie zmienia się jednolicie. Każdy zaczyna wierzyć w coś innego i tworzy to złogi bezprzyczynowości.

- Jak krosta? - podsunąłem.

- Tak - rzekła i dostrzegłem jedną niewielką formującą się na czubku jej nosa. - Działa to tak: jeden fanatyk spotyka drugiego, potem tych dwóch trafia na jeszcze kilku, którzy dzielą te same halucynacje i wnet mamy całą bandę fanatyków wierzących w to samo... wkrótce ich ułudy stają się dla nich rzeczywistością - zaczynają negować rzeczywistość nam daną i zastępują ją splotem nie-rzeczywistości.

Przytaknąłem, skupiając się na otuleniu strzępem mgły.

- Im bardziej świat się zmienia, tym silniej ludzie wierzą w zmiany i tym głębiej one idą. Jeśli potrwa to dłużej, możemy pozostać jedynymi zdrowymi umysłowo ludźmi na świecie - i grozi nam niebezpieczeństwo...

- Biją liczebnością naszą rzeczywistość? - podsunąłem.

- Gorzej - wszystkie ich najrozmaitsze wizje poczynają naruszać strukturę Kosmosu! Zmienia się nawet kształt Ziemi! Cóż, w swoim czasie był naprawdę płaska - Ziemia nie zaczęła się obracać, dopóki ludzie nie uwierzyli, że jest kulista.

Wtedy odwróciłem się i popatrzyłem na nią, ale zniknęła już we mgle. Pozostał tylko jej uśmiech.

- Ale świat ma naprawdę kształt gruszkowaty - powiedziałem. - Czytałem w Scientific American.

- A czemu, twoim zdaniem, zmienia kształt? - zapytał uśmiech. Dzieje się tak, gdyż pewien naród zaczyna wierzyć, iż w gruncie rzeczy jest większy, niż naprawdę jest. Ziemia nabrzmiewa, żeby pomieścić ten naród. - Och - powiedziałem.

- To wina środków przekazu - telewizja wywiera wpływ na naszą wizję świata! Powtarzają nam, że świat się zmienia, i coraz więcej ludzi w to wierzy.

- Cóż - powiedziałem - z takim kształtem świata, jaki mamy dziś, każda zmiana może być tylko na...

- Och, Boże - i ty także! Wy wszyscy gadacie o rozpadającym się świecie... rozłażającym się w szwach...

A potem zniknął nawet uśmiech.

Zostałem sam w pomieszczeniu, ale nie osamotniony w przeświadczeniu. Inni też to poczęli dostrzegać. Wielkie kęsy powierzchni robiły się krostowate i podziurawione. Cały czas odpadały coraz większe kawałki, ale woda z drugiej strony jeszcze się nie przebiła.

Wetknąłem palec w jedną z dziur i wymacałem skrytą głębiej miękką galaretowatą powierzchnię. Może nie odtajała jeszcze do końca.

Jak dotąd nic nie zostało zrobione w zasadniczej sprawie. Wciąż kłopoty z mym mam okiem, ból robi się dokuczliwy, a poza tym coś się dzieje z mym amokiem, który trochę świerzbi, i jak podejrzewam, też zaczyna mętnieć.

- Czyście się już odnaleźli? - zapytał jeden z mówców w parku (nawet nie szukałem - i pamiętny minionych doświadczeń z poszukiwaniem rozmaitych rzeczy, z całą pewnością nie zamierzałem przystąpić do jakichkolwiek poszukiwań). Szedłem bez zatrzymania.

Nieco dalej inny mówca, stojąc tym razem na skrzynce po mydełkach, ćwierkał i tokował: - Powinniśmy być wdzięczni za ten nasz wielki naród, w którym tak wielu ludzi może wierzyć w tyle różnych rzeczy.

Potarłem oko. Miałem nieprzyjemne mdlące uczucie, że w pułapie otwierają się wielkie szczeliny.

- Każdy może wstać i przemówić za swoją sprawą; każda grupa może uwierzyć w to, co sobie upatrzy - zaiste, zdolni jesteśmy przemienić świat, jeśli zapagniemy. I to na kształt naszych marzeń!

Wszystko ćwierkało - po lewej i z prawej, ale również plewy i sprawy. - Ale największą w tym rzeczą - kontynuował mówca - jest fakt, iż jakkolwiek byśmy sobie przeczyli, pracujemy pospołu dla dobra ogólnego!

Nasz wspaniały system demokratyczny pozwala nam minimalizować dzielące nas różnice i jesteśmy zdolni się dogadać. Tylko sugerując wszystkie możliwości rozwiązania

problemu możemy wybrać najszcześliwsze z nich. Na dłuższą metę ta absolutna swoboda pomoże nam wszystkim osiągnąć największe dobro dla najszerzych rzesz!

Brzmiało to w moich uszach nieźle.

Kiedy dotarłem do domu, robotnicy kończyli właśnie kłaść tapetę. Zdumiewające, jak solidnie wyglądała powierzchnia, gdy jej wszystkie rysy i pęknięcia pokryła wesoła kwiecista powłoka.

Nie wiedziałem już, gdzie wykruszył się gips - i naga powierzchnia podłoga roztopiła się we mgle. W istocie, jedyny problem polegał na tym, że pułap zdawał się tkwić niżej niż uprzednio.

Zatrzymałem się, by pogłaskać kota. Skinął łapą, gdy wszedłem. - No, cześć, człowieku - powiedział kot. - Kopsnij jednego. - Nie mogę, kapujesz, kłopoty z mym amokiem.

- No to odpal dolca. - Na co?

- Na odlot - powiedział.

- Och - dałem mu dolara i czekałem na odlot.

Wetknął banknot w pysk, zapalił, wziął walizkę i szybko wzniósł się na pułap podróży trzydziestu tysięcy stóp. Ruszył na zachód. Niezupełnie to pojmowałem. Mgła znacznie zgęstniała i kontrolerzy wstrzymali cały ruch.

Chciałem o coś zapytać, ale zapomniałem o co. No cóż - to nie mogło być nic ważnego. Ale wolałbym zrozumieć...

Człowiek na ekranie telewizora był Lekarzem. Siedział na nim niepojętym sposobem, machając nogami, a fleczyki kaleczyły obraz, i mówił, że narkotyki niweczą rzeczywistość.



Narkotyki mogą unicestwić zdrowie psychiczne człowieka, tak długo deformując jego ogląd świata, aż traci on zdolność jakiegokolwiek postrzegania rzeczywistości.

- Aby tylko nie zmieniały tego, w co wierzy - wymamrotałem i najpierw go wyłączyłem, a potem wyłączyłem z gry. Robiło się późno i chciałem trochę pospać. Zanotowałem w pamięci, by nie brać nowej recepty. Tapeta już zaczynała obłazić.

W rzeczy samej pozostał tylko szkielet konstrukcji, a i on wygląda, jakby został zrobiony z budyniu czekoladowego. Może nawet jest. Może to sprawa narkotyków. Może o d m i e n i a j ą nasze kolektywne wymgły - ale ja niczego nie zauważyłem.

Przełożył Andrzej Ziembicki